

MIĘDZYPOKOLENIOWE PRZEKAZYWANIE ZNAKÓW PAMIĘCI

Beżsilność. Trzy sylaby. Dziesięć liter. Ot, chciałoby się powiedzieć, słowo jak słowo, rzeczownik jak rzeczownik. Ani specjalnie urokliwy, jak świtezianka, ani nadzwyczaj trudny do wymówienia dla obcokrajowców – jak chrząszcz, ani nawet groźny samym już tylko brzmieniem, jak terror. Jednym słowem, skrzecząca pospolitość, nic specjalnego, o czym należałoby rozmyślać po nocach. Czemu należałoby poświęcać uczone traktaty, smutne elegie, wzniosłe dytyramby. A jednak zapewne nie pomylimy się tutaj, gdy powiemy, że jest beżsilność stałą towarzyszką naszej codzienności. Uporczywie obecnym w naszym życiu domownikiem. Czyż jest bowiem ktoś, kto mógłby o sobie powiedzieć, że beżsilności nigdy nie doświadczył? Że go nigdy nie ścisnęła żalem, rozpaczą, drobnym chociażby zwątpieniem, za serce? Że go nigdy nie odkomenderowała do życiowego szeregu i, na krócej lub dłużej, nie postawiła do kąta dla niesformych dzieci?

W najnowszym *Wielkim słowniku języka polskiego* pod hasłem „beżsilność” znajdujemy takie oto wyjaśnienie: jest to brak możliwości poradzenia sobie,



Przy odrestaurowanym grobie prof. Edmunda Krzymuskiego stoją: rektor UJ prof. Wojciech Nowak, prof. Jan Wiktor Tkaczyński oraz dziekan Wydziału Prawa i Administracji UJ prof. Jerzy Pisuliński; 6 listopada 2017

inaczej beżradność. Z całym szacunkiem dla pracy redaktorów tego leksykonu musimy stwierdzić, że takie wyłożenie inkryminowanego słowa zawiera w sobie jednak tylko część prawdy. Pomija bowiem złożoność sytuacji. Zapomina

o kontekście. Nie docenia wreszcie oporu materii. Tymczasem nawet niejęzykoznawca dostrzeże od razu, że czymś innym jest być beżsilnym, a zupełnie czymś innym – beżradnym. Wprawdzie jedno nie wyklucza drugiego, ale – uściślając nasze tutaj rozważania – wskaźmy, że beżsilny to ten, u kogo stwierdzamy brak siły do przeciwstawienia się *vis maior*, za beżradnego uznamy natomiast tego, kto nie ma pomysłu, jak rozwiązać określony problem lub w jaki sposób sprostać danemu wyzwaniu.

Jak zawsze wtedy, gdy obawiamy się, że teoria poszybuje nam prosto do nieba, by zając tam miejsce należne absolutowi, spróbujemy, kierowani bardziej przyziemną cechą charakteru, jaką jest chęć udowodnienia działania prawa grawitacji również w nauce o życiu, poddać ową uduchowioną teorię praktycznemu wyłożeniu. Jest przecież powszechnie znanym faktem, że ludzie uczą się nie dzięki przykazaniom, a jedynie na przykładach (no, może jeszcze, dodajmy dla porządku, na bajkach, mitach i legendach). Więc oto one.



Odstąpienie odrestaurowanego nagrobka prof. Adama Miodońskiego; 2018



Anna Wojnar

Odsłonięcie po renowacji grobowca prof. Ludwika Teichmanna i jego rodziny; 2019

Film Miloša Formana *Amadeus* nie jest filmem, jakby to sugerowali jedni, o genialnym kompozytorze Włfgangu Amadeuszu Mozarcie. Ale to nie jest także, jak sądzą drudzy, film o nienawiści do Mozarta Antonia Salieriego, kompozytora na dworze cesarza Józefa II i zarazem konkurenta w walce o palmę kompozytorskiego pierwszeństwa. To wszystko sztafaż. Taka artystyczna, opisany ją w sposób mało wytworny, zasłona dymna, spoza której wзира obsypana aż ośmioma Oscarami Amerykańskiej Akademii Filmowej uniwersalna prawda o bezsilności. Wobec przemijania. Wobec śmierci. I wobec zapomnienia. Ale także, gdzieś mimochodem, półgębkiem, o bezsilności wobec niemożności wytłumaczenia sobie i innym, dlaczego widzimy talentów u jednych w nadmiarze, u drugich zaś tak niewiele lub nawet odnotowujemy zupełny ich brak. Dlaczego drodze jednych przyświeca słońce sukcesu, gdy inni tymczasem mają zawsze pod górkę. Pod wiatr. Już bowiem w pierwszej scenie filmu widzimy, jak Salieri, w mocno podeszłym już wieku, próbując wywołać skurcz przypomnienia u przywołanego do niesienia duchowej pomocy kapłana, musi stwierdzić z rozpaczą, że ten nie kojarzy z nim żadnej popularnej niegdyś melodii jego autorstwa. Żadnego muzycznego ułamka granych po wielokroć oper, które nagradzał brawami chętnie tak cesarz, jak jego lud. Nic, zupełnie nic, tak, jakby niegdyśejsza sława, powszechne uwielbienie i powodzenie u dam dworu okazały się ulotne jak dym.

Scena inna, przykład drugi. Widzimy Mozarta dyrygującego prawykonaniem swojej opery *Urowadzenie z seraju*. Ostatnie takty zamyka ten rodzaj krótkotrwale osłupiającej ciszy, która na widowni zalega zawsze, zanim nie dotrze do nas, że właśnie byliśmy

świadkami czegoś wyjątkowego, doskonałego, absolutnie skończonego. A zatem moment ciszy, zanim dłonie same nie złożą się do braw i nie powalą uszu huraganem entuzjazmu. Pośród niego, widzimy w filmie dalej, na deski sceny wkracza we własnej osobie Najjaśniejszy Pan, by pogratulować nowej gwiazdzie na kompozytorskim niebie Wiednia. Jednym słowem: sukces na miarę genialnego dzieła 26-letniego zaledwie wówczas kompozytora. A przecież i w tej właśnie scenie to nie sukces święci swój triumf, ale poraża bezsilność zdumienia, gdy cesarz oceniając operę, korzysta z takiego usłuznie – jakże by inaczej – podpowiedzianego monarsze komentarza, że i owszem, opera jest piękna, tylko trochę za wiele w niej... nut. To tak, jakby powiedzieć Einsteinowi, że w jego sławnym równaniu $E = mc^2$ za dużo jest symboli matematycznych. Codziennie, musimy to przyznać tutaj z całą otwartością, jesteśmy świadkami wystąpień takich *besserwisserów*, co to, chociaż sami nic nie zdziałali i niczego nie dokonali, mają dla nas worki pełne dobrych rad, serdecznych podpowiedzi i takichże samych oczywiście wskazówek. Co to mają zawsze na podorędziu, pod dostatkiem, mnóstwo życzliwego wsparcia zaciśniętego w stalową pięść gotową do okładania nas przy każdej możliwej sposobności, bo przecież łatwiej jest mówić, jak zrobić, łatwiej jest przecież ganić, wytykać, niż zmagać się w mozole z oporem rzeczywistości.

I wreszcie przykład z filmu trzeci, scena końcowa, najbardziej poruszająca. Garstka osób w kondukcje żałobnym zatrzymuje się u bram miasta. W dalszą drogę karawan z ciałem zmarłego Mozarta pociągnie już sam. Na cmentarzu nie ma zatem pożegnalnych mów, kwiatów, zniczy, żałobnej muzyki. Jest za to zbiorowy dół i dwie

szufle wapna z obawy przed wybuchem zarazy. Pogrzebowi geniusza nie towarzyszą też żadne znaki na niebie. A przecież, jeśli wolno sobie pozwolić na to śmiało przypuszczenie teologiczne, muzyka Mozarta musiała z pewnością końć za jego życia również uszy anielskich zastępów i wszystkich świętych. Więc jak to? Nic, zupełnie nic?! Nawet – ponieważ – żadnych oficjalnych delegacji domów operowych z całego świata, w których od ponad dwustu lat wystawiane są z niesłabnącym powodzeniem *Don Giovanni*, *Wesele Figara*, *Così fan tutte*, *Czarodziejski flet*, *La clemenza di Tito*, by poprzestać na tych najślawniejszych tytułach. Jak to, musimy retorycznie zapytać, nikt ze składów orkiestrowych rozlicznych filharmonii na całym świecie nie pofatygował się na pogrzeb kompozytora *Requiem* i *Mszy koronacyjnej C-dur*, przy których czujemy się chociaż odrobinę lepsi. Zasobniejsi w nadzieję, która – jak wiadomo – umiera ostatnia. Naprawdę nie było komu, zapytajmy ponownie, wydelegować w imieniu nas wszystkich reprezentantów muzycznych szkół różnego stopnia, w których za wprawkę uchodzi ćwiczenie *Eine kleine Nachtmusik*.

Tak, jesteśmy bezsilni wobec śmierci. Tak, jesteśmy bezsilni wobec ludzkiego zapomnienia. Ale mimo to rację przyznajemy rzymskiemu poecie epoki cesarza Oktawiana Augusta, Sextusowi Propercjuszowi, gdy zapewnia nas z poetyckim żarem: *Letum non omnia finit* (Śmierć nie kończy wszystkiego). I że jeśli my sami nie zdążymy na pogrzeb Mozarta w osobach naszych zmarłych, to na pewno zdąży ktoś inny. Że to niemożliwe, aby zabrakło na świecie ludzi rozumnych i przyzwoitych, którzy z leżącej u podwalin serca potrzeby podejmą trud niesienia pamięci dalej. Dopiero bowiem wtedy, gdy takich ludzi zabraknie, międzypokoleniowe przekazywanie sobie znaków pamięci, tego kodu każdej cywilizacji, straci swój sens. A z nim wszystko to, co nas buduje, co czyni nas społecznością, także tą małą, uniwersytecką.

6 listopada 2019 w kolegiacie Świętej Anny zabrzmiało *Requiem* Włfganga Amadeusza Mozarta. To niezbity dowód, że nasze zmarłe Koleżanki i nasi zmarli Koledzy, chociaż odeszli, są tutaj nadal razem z nami. I że my też jesteśmy z nimi. To *Requiem* jest bowiem tak dla nich, jak dla nas, kiedyś, w przyszłości.

Jan Wiktor Tkaczyński

przewodniczący Komitetu
ds. Opieki nad Grobami Profesorów UJ